

ŚLEDZTWO PODKOMISARZA RYBARSKIEGO

Zazdrosny mąż

Rok 1935

Życie Józefa Kowalskiego i jego rodziny nie należało do najłatwiejszych. Kowalscy mieszkali w starej, rozsypującej się chałupie na skraju wsi; bywały dni, że nie było co do garnka włożyć, a trójka dzieci chodziła często w podartym odzieniu. Nic więc dziwnego, że z chwilą gdy pojawiła się możliwość wyprawy za Ocean i podjęcia pracy w Ameryce, Józef długo się nie zastanawiał. Czule pożegnał żonę, ucałował synów i ruszył w nieznane.

Wrócił po pięciu długich latach, podczas których codziennie przyglądał się tęsknie rodzinnej fotografii myśląc o najbliższych.

Z płytkiego snu, w kajucie przepełnionej takimi jak on podróżującymi, obudziła Józefa syrena wchodzącego do portu statku. Pospiesznie pobierał swoje rzeczy i niemal wybiegł na pokład. Stojąc na trapie, łapczywie wdychał powietrze rodzinnego kraju. Teraz nic nie było już ważne – Do domu! Do domu! Choćby na piechotę!

Niestety... Wizja rzucającej się mu na szyję jego żony, Agnieszki, szybko ustąpiła smutnej konstatacji, że zapewnienia o miłości „po grób”, które niczym aloes pieściły stęsknione serce Józka, sącząc się z otrzymywanych z kraju listów, prysły jak mydlana bańka. Żonę zaopiekował się bowiem brat Józefa – Stanisław. Owszem, wyjeżdżając do Stanów, Józek prosił młodszego brata, by wspomagał jego rodzinę, ale zdecydowanie nie o taką pomoc mu chodziło...

Minęło kilka dni. We wsi huczało o tym, jak to Stasiak „powitał” brata wracającego z Oceanu, a gdy ten ostatni wchodził do gospody, po twarzach obecnych przemykały wzgardliwe uśmiešky. „Zarabiał dolary, a babę mu własny brat zbałamucił” – gadano.

Zdradzany mąż nie mógł się z tym pogodzić, zwłaszcza, że – jak dowiedział się od matki – romans dwudziestopięcioletniej Agnieszki z młodszym bratem trwał w najlepsze już dobrych kilka miesięcy. W tym czasie ciężko pracujący za Oceanem Józef nadal otrzymywał z kraju pokrzepiające listy. Dopiero teraz zrozumiał, że żonie nie na nim zależało, ale wyłącznie na dolarach. W rozmowach małżonków, które zawsze przeradzały się w karczemne awantury, Agnieszka coraz częściej dawała do zrozumienia, że chce od męża odejść i ułożyć sobie życie ze Staszkiem, jej „prawdziwą miłością”.

Od roku pracowała w mieście jako służąca u Zofii Görelowej, właścicielki pięknej kamienicy nazywanej – od nazwiska pracodawczyni – „Pałacem Görelów”. Zofia proponowała Kowalskiej, aby zamieszkała u niej, jednak Agnieszka wciąż grzecznie odmawiała ze względu na dzieci. Teraz wrócił mąż, więc mogła zostawić trójkę chłopców pod jego opieką i wyprowadzić się do miasta. Posadę służącej otrzymała dzięki swemu szwagrowi i kochankowi zarazem, Stanisławowi, który u Görelowej pracował jako ogrodnik. Pielęgnował wysypane żwirem alejki, przycinał krzewy i pnącza na pergoli, w cieniu której Pani Zofia lubiła odpoczywać, a w ciepłe dni podejmować gości. Co pewien czas ogrodnik wyjeżdżał także na kilka dni do Wołowców nad Sanem, majątku siostry swojej pracodawczyni, Bronisławy Kurowskiej. Tam pomagał w pielęgnacji rosnących wokół dworu rzadko spotykanych w Małopolsce georginii. Dla Staszka praca w mieście była spełnieniem marzeń. Rosły i barczysty mężczyzna, z ledwie ukończoną szkołą ludową, pracował wcześniej w folwarku przy klasycystycznym dworze Rozumskich, znajdującym się w jego rodzinnej wsi. Teraz pielęgnował ogród w centrum miasta, zawierał nowe znajomości, bywał w tutejszych lokalach... od czasu do czasu przyjeżdżał do wsi, w białej koszuli, pod krawatem oraz w zabawnym filcowym kapeluszu z nieco za dużym rondem. Gdy zaglądał do karczmy, witano go wylewnie, wiedziano bowiem, że każdy z biesiadników może liczyć na kufel piwa. Nikt nie zastanawiał się nad tym, jak Stachowi udało się zdobyć taką pracę. Poszczęściło się chłopu i już...

Tymczasem wściekłość Józefa sięgała granic, a swoje żale próbował utopić w gorzałce. Pewnego wieczoru, po dłuższej popijawie, wrócił do domu. W kuchni siedziała zapłakana Agnieszka, a obok niej Staszek, który starał się jak mógł pocieszyć szwagierkę. Gdy Józek stanął w drzwiach, żona zerwała się ze stojącego przy kuchennym stole zydelka i rzuciła z pięściami na chwiejącego się męża krzycząc, że nie chce już żyć u boku wiecznie pijanego „dziada”, który nie zajmuje się ani dziećmi ani uczciwą pracą. Po raz kolejny wykrzyczała Józkowi w twarz, że chce od niego odejść. Zamroczony alkoholem Józef na krótką chwilę odzyskał rezon: w przyływie świadomości kazał się bratu wynosić, zaś Agnieszkę chwycił za rękę: teraz to on chciał jej wszystko wygarnąć, wszystko, co leżało mu na sercu: o zdradzie, o jej kłamstwach i... Jak stał, tak zwałił się na drewnianą podłogę rozbijając głowę o piec...

Poranne słońce wpadało do środka przez małe kuchenne okienko. Ból rozsadzał Józkowi czaszkę. Wzmógł się, gdy próbował otworzyć zmęczone pijackim snem oczy. Odwrócił głowę: obok niego, na ziemi, wiła się w konwulsjach żona, tocząc z ust gęstą pianę. Kątem oka

zobaczył rozsypaną pod stołem trutkę na szczury. Rozdarty na miliony kawałków rozum zaczął powoli łączyć fakty – Dlaczego jego żona zażyła to świństwo? Nie, nie zrobiła tego sama! Więc kto?

Czasu na zastanawianie się nie było wiele. Gdy Józef leżał jak sparaliżowany, niczym duch zjawił się jego brat Stach.

- Rany Boskie! Zabiłeś ją! – krzyk mężczyzny rozdarł poranną ciszę. Staszek ukląkł przy Agnieszce, próbując ją ratować. Na próżno...

Kwadrans później do domu Kowalskich weszli funkcjonariusze Policji Państwowej. Józek siedział przy stole kompletnie otępiały. Gdy wyprowadzali go z kuchni, spojrzął jeszcze przez ramię na izbę: jeden z policjantów przykrywał kocem zwłoki żony, a przy kuchennym stole lekarz, który chwilę wcześniej stwierdził zgon, sporządzał protokół... Nie tak miało to wyglądać. Nie tak Józef wyobrażał sobie powrót zza Oceanu i nowe, lepsze życie w kraju. Nie tak ...

Dla reportera „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” sprawa zabójstwa Agnieszki Kowalskiej była oczywista. Józef miał motyw: zdrada małżeńska i chęć ukarania niewiernej żony. Trucie było wówczas dość popularną metodą pozbywania się niechcianego współmałżonka, choć częściej stanowiło oręż w rękach kobiet. Uznano jednak, że zdradzany desperat nie silił się na bardziej finezyjne metody. Trucizna powodowała dodatkowe cierpienie – i być może spazmy umierającej kobiety miały ukoić ból serca zdradzonego mężczyzny? Tak przynajmniej dowodził dziennikarz, który relacjonował proces Józefa Kowalskiego przed Sądem Okręgowym. Dodatkową gratką dla czytelników był fakt, że sprawę zabójstwa osądzić miał nie kto inny, jak słynny „Pan Śmierć”...

Doktor Zdzisław Rozumski na swój złowrogi przydomek pracował latami. Nigdy się długo nie wahał: nie miał większych wątpliwości co do winy oskarżonego czy dłuższej refleksji nad zeznaniami świadków i dowodami. Jeśli zaś sprawa była gardłowa, „Pan Śmierć” był w swoim żywiole... Bogaty, zawsze nienagannie ubrany, uwielbiający zbytek i luksusowe samochody. Tajemnicą poliszynela było, że na punkcie pieniędzy Rozumski miał obsesję. Choć szeptano o jego korupcyjnych powiązaniach, to nikt nigdy nie odważył się tej kwestii podnieść oficjalnie, bowiem sędzia miał zbyt rozległe koneksje i znajomości w środowisku prawniczym.

Letnie słońce przedarło się przez wysokie okiennice sądowego korytarza, przez który dwóch policjantów prowadziło na salę rozpraw Józefa Kowalskiego. Kilka minut później ten sam korytarz przemierzył, podwijając zamasyście fałdy sędziowskiej togi, doktor Rozumski.

Przewód trwał zaledwie dwa dni. Głównym świadkiem był młodszy brat oskarżonego, Stanisław. Zeznał on, że rano w domu, nota bene nie zamkniętym nawet na skobel, oprócz Józefa, jego żony i śpiących jeszcze dzieci na pewno nie było nikogo. Gdy wszedł do kuchni, Agnieszka dogorywała na podłodze a brat siedział obok niej patrząc beznamiętnie na śmierć żony. Gdy morderca zobaczył w kuchennych drzwiach młodszego brata, zerwał się z podłogi. Chwycił leżący na stole nóż, a w oczach miał tylko żądzę mordy! Rzucił się na Stanisława – bez wątpienia chcąc go pozbawić życia. Stach był jednak szybszy i o wiele silniejszy. Odskoczył i pchnął brata tak, że ten uderzył głową o piec. Sędzia nie uwzględnił protokołu spisanego przez policjantów na miejscu zdarzenia i oświadczenia lekarza, który stwierdzał zgon Agnieszki Kowalskiej. Funkcjonariusze przede wszystkim nie znaleźli noża, podkreślali też w protokole, że Józef był tak otepiały, że nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Z kolei lekarz stwierdził, że krew na rozbitej głowie oskarżonego była zaschnięta, musiał więc uderzyć się dużo wcześniej niż wynikało to z wersji Stanisława. Doktor Rozumski zupełnie zlekceważył adwokata, który uważał, że zabójstwa mogła dopuścić się osoba trzecia – drzwi do domu były przecież otwarte. Karygodny fakt ataku na młodszego brata, którego dopuścił się Józef, prawnik tłumaczył jednak fatalnymi relacjami między rodzeństwem i ogromnym, uzasadnionym zresztą, zalem wobec Stanisława za uwiedzenie żony. Na próżno.

Mimo tych rozbieżności sędzia skazał oskarżonego na karę śmierci za zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Niedługo potem Józef Kowalski zakończył życie na więziennej szubienicy ...

Wśród obecnych na sali rozpraw był nie tylko dziennikarz „IKC-a”. W jednej z ostatnich ław siedział Wicek Oczko, pomocnik kierownika lokalnego kina. Krótką chwilę mocował się z cudem techniki, jakim była niemiecka kamera filmowa Eumig. Wreszcie się udało. Na ośmiomilimetrowej taśmie zarejestrował skupioną twarz sędziego, słuchającego zeznań Stanisława Kowalskiego. Rozemocjonowanego prokuratora, coraz bardziej zdziwionego oskarżonego, który słuchał zeznań brata... I znów sędzia, który w palcach obracał nerwowo błyszczące pióro, gdy prokurator odczytywał policyjny protokół. Obraz trochę niewyraźny,

„trzęsący się”, przecież niewprawna jeszcze ręka trzymała kamerę. I jeszcze kilka migawek – adwokat, oskarżony, sędzia...

Rolka filmu zafurgotała ...

Koniec cz. 1

Samobójstwo w blasku księżyca

Minęły dwa lata.

Nieprzyjemny zgrzyt zamka rozległ się po korytarzu aresztu posterunku Policji Państwowej. Tak to już w czwartki bywało, kiedy furmani z okolicznych wsi przybywali na miejski targ, zabawiali dłużej w gospodach i szynkach, a potem wszczynali awantury, nierzadko tłukąc się po gębach niemal do utraty przytomności. Policja miała wtedy pełne ręce roboty. Tak było też tego wiosennego wieczora. Podkomisarz Romuald Rybarski szybko opuścił śmierdzącą piwnicę i wrócił do pokoju w komisariacie.

Na jego biurku rozłożone były notatki, które trzy dni wcześniej sporządził patrząc na zwłoki pięknej Heleny Zawadzkiej, służącej u Zofii Görelowej. Ponoć do samobójstwa popchnąć miała dziewczynę nieszczęśliwa miłość. Dwudziestodwulatka przerzuciła nocą sznur przez barierkę balkonu i rzuciła się w dół... Barierka była dość wysoka, wejście na jej szczyt na pewno wymagało od drobnej dziewczyny dużej sprawności. Sznur był bardzo fachowo związany, ale... czy zdesperowana dziewczyna mogła w odruchu rozpaczony zapleść go w taki właśnie sposób?

Rybarski każdą, nawet najbardziej oczywistą sprawę starał się dogłębnie zbadać. Postanowił więc porozmawiać nie tylko z pracodawczynią Heleny, ale także z narzeczonym samobójczynie.

Pani Görelowa wypowiadała się o swojej służącej raczej pochlebnie. Owszem, Helcia była trochę ciekawska i raz nawet pani Zofia nakryła ją na tym, że zaglądała do szuflady biurka, ale wtedy dziewczyna spłonęła rumieńcem i przeprosiła. Ot, nadmierna ciekawość młodej osoby, dla której praca w mieście wydawała się spełnieniem marzeń, a możliwość obcowania z bogatą mieszkanką wielkiej kamienicy aż kusiała, żeby czasem zerknąć w zamknięte na co dzień kąty. Jedyne, co Görelowej przychodziło do głowy jako „nietypowe”, to powtarzające się co jakiś czas nietaktowne wypytywanie o szczegóły z życia pracodawczyni – o rodziców, rodzeństwo, dziadków, rodzinne korzenie...

„Trochę wścibska” – odnotował w kajecie podkomisarz Rybarski.

Przyszła pora na rozmowę z ukochanym zmarłej. Ustalenie, kim był ów człowiek, nie stanowiło żadnej trudności. Już podczas rozmowy z Zofią Görelową okazało się, że Helena Zawadzka, nie mająca przecież w mieście nikogo znajomego, znalazła adoratora w osobie ogrodnika zatrudnionego u tej samej pracodawczyni. Pani Zofia kilkakrotnie zauważyła, patrząc przez wychodzące na ogród okno swojego mieszkania, jak żwirowymi alejkami Helena przechadzała się pod rękę ze Stanisławem Kowalskim. Wyglądało to bardziej jak schadzka kochanków, aniżeli odpoczynek po pracy. Od swoich informatorów Rybarski dowiedział się, że ogrodnik Görelowej spacerował czasem po parku i miejskich plantach z młodą dziewczyną, którą rozpoznali na zdjęciu pokazanym im przez policjanta. Z takim bagażem wiedzy można już było porozmawiać z niedoszłym mężem samobójczyni.

W ciepłe wiosenne popołudnie podkomisarz udał się do ogrodu Görelowej, gdzie zastał Stanisława Kowalskiego akurat podczas przerwy pracy. Ogródnik siedział w drewnianej altanie i palił papierosa. Od razu sprawił na policjancie wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie i bezczelnego. Helcia Zawadzka? Młodziutka, zupełnie nie znająca życia w mieście koza z kompleksami, która za wszelką cenę chciała mu się przypodobać – stwierdził Kowalski. Owszem dziewczyna umizgiwała się do niego, ale on absolutnie nic jej nie obiecywał. Przychodziła czasem, kiedy pracował w ogrodzie, zwierzała się, że matka ją wydziedziczyła, a ojciec pogonił za zadawanie się z podejrzanymi absztyfikantami, że niedawno jej brat utopił się w rzece, że traci zmysły... Pewnie to ostatnie doprowadziło ją do samobójstwa. Ale najlepiej porozmawiać z goszczącym u pani Görelowej krewnym z Wołowców, który akurat w ostatnich dniach przyjechał w odwiedziny do ciotki i rano dostrzegł przez okno wiszącą z balkonu dziewczynę. Bał się sam powiadomić funkcjonariuszy Policji Państwowej i poprosił o to jednego z sąsiadów.

Ogródnik wstał, pożegnał policjanta lekkim skinieniem głowy i tłumacząc się nadmiarem obowiązków odszedł żwirową alejką.

Tym razem to Rybarski zapalił papierosa siedząc samotnie w altanie Görelów. Raz patrzył w okno mieszkania pani Zofii, z którego właścicielka kamienicy widziała jak na dłoni spacerujących kochanków – a ci, jak twierdził Stanisław, wcale kochankami nie byli – a raz na balkon, na którym odebrała sobie życie Helena Zawadzka. Coś tu nie pasowało... Tłumaczenia opryskliwego ogrodnika były niewiarygodne. Zaparł się swej bliskiej znajomości

z dziewczyną, co już było sprzeczne z zebranymi przez policjanta z różnych źródeł informacjami. Rybarski wstał. Przemierzył ogród i powoli podszedł do ściany kamienicy z oknem, z którego właścicielka „Pałacu Görelów” widziała krzewy, niskie drzewa, zadbaną trawę i ogrodowe alejki. Po ścianie późnoklasykistycznej budowli pięły się gęste pnącza nadając kamienicy piękny, romantyczny nieco obraz, jednocześnie... uniemożliwiający dostrzeżenie z okna balkonu, na którym dokonała żywota Helena Zawadzka!

Rybarski nerwowo zapalił kolejnego papierosa i wrócił do ogrodowej pergoli, która dawała przyjemny chłód w wyjątkową ciepłą tego roku wiosnę. Przeglądał kajet, z którym się nigdy nie rozstawał. Chciał się szybko upewnić o tym, co zanotował podczas rozmowy z właścicielką kamienicy. Rzeczywiście, o samobójstwie policję poinformował sąsiad, ale nie na prośbę krewnej Görelowej. W trakcie rozmowy z panią Zofią podkomisarz pytał bowiem czy ktoś ją w ostatnich dniach odwiedzał – i nie odwiedzał jej nikt. Rybarski wstał i przyjrzał się pergoli, która od dłuższego czasu nie dawała mu spokoju. Żerdki misternej konstrukcji połączone były na przemian cienkim i grubym sznurem aby winorośl mogła bujnie rosnąć. Widział już ten sznur! Na takim samym powiesiła się przecież Helena!

W głowie podkomisarza drobne elementy układanki zaczęły się komponować w coraz bardziej przejrzysty obraz. Teraz musiał dowiedzieć się kim była Helena Zawadzka i czy faktycznie oprócz niespełnionej ponoć miłości do targnięcia się na życie popchnęła ją tak fatalna sytuacja rodzinna?

Wizyta w rodzinnej wsi dziewczyny już na samym początku podważyła opowieści Kowalskiego. Podkomisarz rozmawiał z bliskimi Heleny dzień po jej pogrzebie. Jak zeznawali zgodnie żałobnicy, matka zmarłej kochała córkę ponad życie – zwłaszcza że miała ją jedną (mąż zginął ponad dwadzieścia lat wcześniej na wojnie, w mundurze cesarsko-królewskiej armii), a odprawiający egzekwie lokalny proboszcz na Boga się zaklinał, że Helcia nigdy by się nie targnęła na własne życie: była cicha, spokojna i bardzo wierząca.

Wracając do miasta Rybarski wiedział już, jaki będzie jego kolejny krok.

Już na kasztanowej alei prowadzącej z dworca w stronę centrum usłyszał policyjne gwizdki. Pełen złych przeczuć puścił się pędem w stronę, skąd dochodził ich dźwięk. Na środku wybrukowanego kocimi łbami rynku, w wielkiej kałuży krwi leżał Stanisław Kowalski...

Kilka godzin później w mieście znów rozległy się syreny. Tym razem strażackie. Płonęło piętro w budynku kina. Wielkie jężory ognia i czarnego dymu dobywały się z pomieszczeń na parterze długiej kamienicy. Pożar udało się ugasić, ale niemal doszczętnie spłonął magazyn, w którym przechowywane były szpule i rolki filmowe...

Następnego dnia rano Wicek Oczko z przerażeniem patrzył na rozmiary zniszczeń. Amatorską przygodę z kamerą filmową rozpoczął kilka lat wcześniej. Zabierał ją ze sobą niemal wszędzie. Na taśmie utrzymywał przeróżne sytuacje: uroczystości kościelne i państwowe, ćwiczenia sportowe przed gmachem „Sokoła”, dzień powszedni miasta. W pewnym momencie uzyskał nawet nieformalny status dokumentalisty z możliwością wejścia z kamerą do szkoły, magistratu czy sądu. Stojąc wciąż w progu magazynu przypominał sobie różne zarejestrowane przez siebie obrazy. Niedawno uwiecznił na taśmie filmowej dość zabawną scenę w koszarach wojskowych, gdy jeden z wysokich rangą oficerów wizytujących jednostkę przemawiał do żołnierzy stojąc – dla lepszej widoczności – na stołku. Nostalgiczne wspomnienia rozviała ponura refleksja, że ostatnie wydarzenie, jakie zarejestrował, było tragiczne – uroczystość na rynku z udziałem członków Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” przerwana strzałami z rewolweru. Wicekowi udało się nakręcić tumult, jaki wówczas powstał, a nawet podejść do miejsca, w którym – już w otoczeniu policjantów – leżała ofiara. Tyle pracy i wszystko zniszczone...

Wicek westchnął i usiadł na zakopconym krześle w rogu pomieszczenia. Po raz kolejny potoczył wzrokiem po zgłiszczach magazynu, gdy nagle wpadające przez okno słońce odbiło w pogorzeliśku blask, jakby metalu. Wicek podniósł się i rozgarnął nogą zwęglone resztki. Jego oczom ukazała się ocalała jakimś cudem drewniana, okuta stalowymi narożnikami skrzynka.

Koniec cz. 2

Sprawiedliwość jest ślepa

Rybarski siedział na werandzie swego domu w ulubionym, wiklinowym fotelu, lekko się na nim bujając. Zapalił papierosa. Kolejny raz analizował wydarzenia z ostatnich kilku dni: podejrzane samobójstwo młodej dziewczyny, kłamstwa ogrodnika sugerujące, że mógł stać za samobójczą śmiercią służącej, a leżał teraz martwy w chłodni szpitala powiatowego. Śmierć Kowalskiego była bez wątpienia zabójstwem, łatwym do zrealizowania w tłumie ludzi, których zgromadziła na rynku niedzielna uroczystość „Sokoła”. Jaki jednak był motyw sprawcy? Kim był zabójca, bez wątpienia zaprawiony w swoim fachu, bo strzały były precyzyjne i śmiertelne. Czy działał na zlecenie?

W poniedziałkowy poranek podkomisarz rozpoczął pracę od lektury prasy. Nie bieżącej jednak, tylko tych starych numerów „IKC”-a, w których policjanci zaznaczali co ciekawsze relacje z procesów sądowych, a zwłaszcza z rozpraw toczących się przed tutejszym Sądem Okręgowym. Jego uwagę przykuł artykuł relacjonujący proces sprzed dwóch lat, w którym na karę śmierci został skazany niejaki Józef Kowalski, a ofiarą mordercy była jego żona, Agnieszka, pracująca jako służąca w domu – przełkną łą ślinę – Zofii Görelowej! Głównym świadkiem w sprawie był młodszy brat oskarżonego – teraz niemal łą ślinę się zadławił – Stanisław Kowalski! Rybarski aż poparzył się kawą, która prysnęła na mundur. Zerwał się z za biurka i pobiegł do pracodawczyni dwóch młodych kobiet. Obie łączyła bowiem znajomość z nieżyjącym już Stanisławem Kowalskim.

Gorąca herbata ze sklepu kolonialnego roznosiła po pokoju miły zapach. Pani Görelowa przez ostatnie dni radzić musiała sobie bez służącej, ale pomagała jej sąsiadka, której wynajmowała małe mieszkanie na parterze swojej kamienicy. Po wymianie tradycyjnych uprzejmości Rybarski przeszedł do rzeczy. Gospodyni opowiedziała podkomisarzowi o Agnieszce, którą w 1935 roku otrął mąż, i ponownie o Helci, która sama skończyła ze swoim życiem kilka dni wcześniej. Obie kobiety, miłe i sympatyczne dwudziestoparolatki z okolicznych wsi, oddawały się swej pracy bez reszty. To co u obu przeszkadzało starszej pani, to zażyłe kontakty z ogrodnikiem i wścibskie, czasem aż do niestosowności, zachowanie wobec pracodawczyni. Tak Kowalska (o romansie Agnieszki z ogrodnikiem pani Zofia wiedziała doskonale) jak i Zawadzka dopytywały się o szczegóły z życia pani Görelowej. Zofia przypominała sobie, że nie tylko Helenę przyłapała na przeglądaniu szuflady biurka. Także Agnieszka w trakcie sprzątnięcia próbowała zerknąć do otrzymanej przez pracodawczynię poczty. Görelowa uznała jednak, że ta ciekawość była efektem zderzenia dwóch światów – z jednej strony ubóstwa domu rodzinnego, z drugiej zaś zamożności pracodawczyni, widoku podejmowanych przez nią eleganckich i wykształconych gości: żon lekarzy, prawników, gimnazjalnych profesorów... W szczerzej rozmowie Agnieszka przyznała się kiedyś Görelowej, że o długiej historii rodu właścicielki pałacu opowiadał jej Stanisław Kowalski. Ogródnik podpuszczał nawet służącą, by ta dopytała pracodawczynię o jakieś szczegóły dotyczące jej rodziców czy rodzeństwa. Kiedy pani Zofia zwróciła mu uwagę, że nie życzy sobie takich sekretnych dyskusji między pracownikami, Stanisław przeprosił i powiedział, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Parę tygodni później wrócił z Ameryki mąż Agnieszki, i wtedy zdarzyła się ta straszna tragedia...

Wielka to była strata, bo Aga, jak pieśczośliwie nazywała służącą pani Zofia, świetnie wywiązywała się ze swych obowiązków.

– Helena z kolei – przypomniała sobie jeszcze jeden fakt pani Görelowa – po tym jak przyłapałam ją na szperaniu w szufladzie mojego biurka, chodziła przez kilka dni bardzo zasepiona. Odniosłam nawet wrażenie, że chce mi o czymś opowiedzieć. Ostatecznie jednak tego nie zrobiła. Nie wiem co ją martwiło? Niedługo potem doszło do kolejnej tragedii w moim domu...

Teraz podkomisarz Rybarski postanowił zadać niestosowne pytanie, którym tak często irytowały swoją pracodawczynię służące: o rodzinne korzenie zamożnej mieszkanki „Pałacu”, zwłaszcza o jej rodzeństwo.

Zofia Görelowa upiła łyk herbaty, odchyliła się na fotelu, po czym wstała i podeszła do stojącej w rogu pokoju dębowej etażerki, na półce której leżał rodzinny album. Pierwsze fotografie przedstawiały przystojnego mężczyznę w stroju sokolim, męża Zofii, znanego lekarza i społecznika, którego Rybarski znał osobiście. Wdowa po nim zatrzymała się nad fotografią przedstawiającą Bruno Görela siedzącego przy biurku i piszącego coś, być może list, pięknym, złotym – jak wyjaśniła pani Zofia - piórem. Poglądziła fotografię z czułością.

– Proszę sobie wyobrazić – powiedziała w zamyśleniu Zofia – że to pióro jakiś czas temu gdzieś się zawieruszyło... Bruno dostał je od mojego szwagra, hrabiego Kurowskiego z Wołowców. Mąż tak je lubił...

Przerzuciła kilka stron i zatrzymała się na zdjęciu, które nadgryzł już ząb czasu.

– Na tej fotografii jest mój ojciec, Fryderyk Schwarzenberg – wskazała palcem postawnego mężczyznę stojącego na tle okazałego dworu.

– Ten dwór – ciągnęła dalej opowieść – zgodnie z ostatnim życzeniem mojego ojca miał przypaść w udziale jego synowi, a mojemu bratu, Wilhelmowi, który – w co ojciec głęboko wierzył do swych ostatnich dni – wróci z frontu. Brat, oficer cesarsko-królewskiej armii, walczył nad Isonzo we Włoszech, ale po wojnie do kraju już nie powrócił. Na łożu śmierci ojciec potwierdził swoją ostatnią wolę, z tym jednak zastrzeżeniem, że jeśli Wilhelm nie wróci w ciągu kolejnych dziesięciu lat, majątek przypadnie najmłodszej z córek. Tą najmłodszą córką jestem ja. O ostatniej woli Fryderyka Schwarzenberga wiedziała tylko zgromadzona wokół konającego nestora rodu rodzina, notariusz doktor Ebel i jego młody praktykant. Nadzieje ojca udzieliły się wszystkim – ja do dzisiaj, gdy otrzymuję pocztę, łudzę się, że to list od brata...

Podkomisarz wpadł do swojego biura na komisariacie jak bomba, chwycił w ręce gazetę poplamioną poranną kawą. Doktor Zdzisław Rozumski – to właśnie ten sędzia skazał Władysława Kowalskiego na śmierć i dopilnował, żeby beneficjent „amerykańskiego snu” szybko skończył na szafocie. Rybarskiemu przyszedł do głowy pomysł, który rozważał już rano, tuż po lekturze „Kuriera”. Chwycił za słuchawkę telefonu i wybrał numer do kina.

– Wicek? Mówi Romek. – zagaił rozmowę ze szkolnym kolegą – Słuchaj... Chodziłeś kiedyś z kamerą filmową na rozprawy sądowe. Pamiętasz taką sprawę sprzed dwóch lat?... Na karę śmierci został skazany za zabójstwo żony Józef Kowalski... Było trochę szumu... Wyrok wydał sędzia Zdzisław Rozumski, prawda?

– Rzeczywiście! – młody filmowiec aż zapowietrzył się wobec faktu, że policjant wreszcie dostrzegł jego filmowe fascynacje – Pamiętam sprawę. Sądził „Pan Śmierć”. Z góry założył, że oskarżony jest winny i zrobił wszystko, żeby skończył na szafocie. Aha! Pamiętasz, jak ci mówiłem, że pożar zniszczył wszystkie moje filmy? Wyobraź sobie, że łażąc po zgłiszczach magazynu znalazłem rolkę z nagraniem – z tego właśnie procesu! Nie mam pojęcia, jakim cudem się uchowała... Wpadnij dzisiaj do kina, to obejrzymy je w kabinie.

Odkładając słuchawkę na widełki, Rybarski ułożył już w głowie plan działania. Sprawa śmierci Heleny Zawadzkiej została już zamknięta przez prokuratora Tadeusza Boratyna, prywatnie wdowca po tragicznie zmarłej Rozalii Rozumskiej, siostrze sędziego. Zbieżność tych faktów nic nie znaczyła, ale podkomisarz – dobrze znający ze względu na swój policyjny fach „Pana Śmierć” – wiedział, że doktor Zdzisław Rozumski prawniczą karierę rozpoczynał jako auskultant sądowy, a wcześniej praktykant u notariusza. Podkomisarz dopił zimną kawę, wyszedł z komisariatu i przechodząc przez rynek, dotarł do sądu, gdzie w archiwum sprawdził wykaz nazwisk pracowników etatowych i praktykantów od początku wieku. Ta wyprawa sprawiła, że doświadczonemu policjantowi zaschło w ustach, a włos zjeżył się na głowie. W czasie gdy rozstrzygała się sprawa testamentu Fryderyka Schwarzenberga, praktykantem u zmarłego przed laty doktora Ebla był młody absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego: Zdzisław Rozumski!

Następnego dnia podkomisarz udał się do wsi, z której pochodzili Kowalscy. Odnotowane w kajecie informacje zostały wzbogacone o wieczorną lekturę leksykonu miejscowości

województwa i historię okolicznych siedzib rodów szlacheckich. We wsi znajdował się majątek należący do rodziny Rozumskich, obecnie już tylko do sędziego Zdzisława Rozumskiego. Jego jedyna siostra Rozalia zginęła bowiem kilka lat wcześniej w wypadku samochodowym.

O delikatnych sprawach nie rozmawia się w mundurze funkcjonariusza Policji Państwowej, więc Rybarski wszedł do jedynej w tej miejscowości karczmy po cywilnemu, zamówił kufel piwa i przysiadł w pobliżu chłopów, którzy głośno rozprawiali o zamordowanym koledze Staszku, co to w mieście ogród pielęgnował i w tym mieście go zastrzelili. Pewnie dobrze zarabiał i go okradli.

– Tak – krzyknął jeden z uczestników biesiady – a jakby dalej u wielmożnego pana Rozumskiego w majątku robił, to by mu się nic stało i dalej by żył!

Rybarski dopił piwo i mimo że wlał w siebie tylko jeden jego kufel, czuł się tak, jakby wypił co najmniej kufli pięć. Wytoczył się z gospody i ciężko dysząc, oparł o drzewo.

Teraz wszystko zrozumiał, wszystko stało się jasne. Sędzia znał sprawę testamentu Schwarzenberga i historię jego syna Wilhelma. Doktor obojga praw, mimo że majątny, łasy był na kolejny dwór i wielki majątek. Gdyby Rozumskiemu udało się wkraść w łaski Zofii Görelowej, zdobyć o niej jak najwięcej informacji, poznać jej zwyczaje, a ostatecznie skłonić ją do małżeństwa – zdobyłby fortunę! A potem...

Prawnik uknuł więc – skomplikowaną, trzeba przyznać – intrygę. Zofia, wdowa po lekarzu, współinicjatorze budowy sokołni i dyrektorze Wydziału Towarzystwa, poza kilkoma serdecznymi przyjaciółkami nie utrzymywała zbyt bliskich kontaktów z innymi mieszkańcami miasteczka. Swoją przeszłość zostawiła w ukochanym Lwowie. Jediną szansą na dotarcie do Zofii Görelowej było otoczenie jej dyskretną obserwacją, poznanie jej sekretów, a może nawet wielkich rodowych tajemnic, którymi sędzia mógłby ją na przykład zaszantażować... Rozumski miał całkiem rozbudowanego i mocarnego pracownika folwarcznego – Stanisława, któremu powierzył – obiecując duże pieniądze – zadanie zatrudnienia się u zamożnej wdowy. Jako że ogrodnik nie miał specjalnej możliwości utrzymywania kontaktów z Zofią Görelową i jej rodziną z majątku w Wołowcach, otoczył „opieką” jej służące. Z Agnieszką nie miał problemu, uwiódł ją przecież własnemu bratu, młodą Helcię oplótł sobie z kolei wokół palca, obiecując ożenek. Rozkochana w Stanisławie Agnieszka była „peplą”, która nawet pani Zofii powiedziała o swoich z nim rozmowach. Jej gadulstwo (a nie mieszkała przecież u Görelowej tylko na wsi) mogło zburzyć misterny plan. Musiała umrzeć. Rolę „zabójcy” miał spełnić brat, Józef, którego Stanisław w dniu aresztowania okradł z przywiezionych przez niego dolarów...

Helcia miała być głupiutką służącą, która, bez pamięci zakochana w Stanisławie, zrobiłaby dla niego wszystko. I tak by się z pewnością stało, gdyby nie jej nieostrożność: Görelowa nakryła ją na myszkowaniu w swoim biurku.

Rybarski zamknął oczy. Wyobraził sobie księżycową noc i parę kochanków: spotykają się w ogrodzie Zofii Görelowej, Helena mówi, że dla Staszka może zrobić wiele, ale nie może kraść, bo to przecież straszny grzech, przyznaje się wreszcie ogrodnikowi, że chce o wszystkim powiedzieć pani Zofi, Stanisław całuje czuje Helcię, mówi jej, że ma rację, że nie wolno mu było jej prosić o tak podły wobec pracodawczyni czyn... „Widzisz księżyc? Zasłaniają go drzewa – chodźmy na balkon, będzie lepiej widać”. Helena nie zastanawia się ani sekundy, rusza przodem, bezszelestnie, żeby nie zbudzić pani Zofii i innych mieszkańców. Za nią krok w krok postępuje Stanisław. Rozgląda się, nikt nie może ich zobaczyć. W ręku za plecami dzierży spleciony wcześniej sznur...

Zaczynało się wyjaśniać, dlaczego Stanisław zginął od strzałów na miejskim rynku. Nie zrealizował zadania powierzonego mu przez bezwzględного sędziego, zamordował przy okazji dwie kobiety, złożył fałszywe zeznanie przed sądem... Był niebezpieczny. Musiał zginąć.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Romuald Rybarski i Wicek Oczko, koledzy z czasów gimnazjalnych, rozsiedli się wygodnie w kinowej kabinie. Wicek uruchomił projektor, który z terkotem przewijał celuloidową taśmę. Policjant w milczeniu, przygryzając wargi, oglądał kolejne sceny: skupioną twarz doktora Zdzisława Rozumskiego, słuchającego zeznań Stanisława Kowalskiego, rozemocjonowanego prokuratora, coraz bardziej zdziwionego oskarżonego, który słucha zeznań brata... I znów sędzia, który nerwowo obraca w palcach pióro, gdy prokurator odczytuje niezgodny z zeznaniami świadka policyjny protokół... Obraz trochę niewyraźny, „trzęsący się”. I jeszcze kilka migawek – adwokat, oskarżony, sędzia...

– Wicek, mógłbyś cofnąć nieco film? – Rybarski z trudem powstrzymał emocje – O, tutaj. Zatrzymaj proszę.

– Coś nie tak?

– Nie, nie, wszystko w porządku... Późno już, powinniśmy chyba skończyć na dziś...

Policjant i filmowiec-amator wyszli z kina w milczeniu. Ogarnął ich przyjemny chłód nocy. Zatrzymali się po drugiej stronie ulicy i z tej perspektywy patrzyli na piętrowy gmach. Rybarski zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko dymem. Czy mógł istnieć związek między śmiercią

Kowalskiego a pożarem w kinie, który wybuchł przecież w tym samym dniu? Uśmiechnął się do siebie odpędzając niedorzeczną myśl i skinął na pożegnanie koledze, który ruszył w stronę domu. Podkomisarz chwilę jeszcze stał, patrząc za odchodzącym Wickiem, ale widok cichej, oświetlonej latarniami głównej ulicy miasta przesłaniał mu utrwalony na ośmiomilimetrowej taśmie filmowej obraz. Sędzia Rozumski, obracający w palcach nerwowo pióro... Policjant nie miał wątpliwości, że było to złote pióro Brunona Görela ...

Choć podkomisarz Romuald Rybarski sprawę rozwiązał, Zdzisław Rozumski nigdy nie stanął przed sądem. Zmarł w 1938 roku na zawał, a jego pogrzeb był jednym z bardziej okazałych w międzywojennym mieście.

Zofia Görelowa zmarła po II wojnie światowej jako osiemdziesięciodwuletnia staruszka. Nigdy nie dowiedziała się o zamiarach Rozumskiego względem jej osoby. Rybarski jej tego oszczędził.

Na grobie domniemanego mordercy żony Józefa Kowalskiego, bo nikt straconego na szubienicy nieszczęśnika nie oczyścił z zarzutu, ktoś ciągle kładł świeże kwiaty.

Mimo starań policji zabójca Stanisława Kowalskiego nigdy nie został ujęty ...

Koniec